



JASKIER
2019

Spis treści:

“Wojażę magicznego wypadku” Maria Gadomska	3
“Pętla” Michał Cybulski	9
“Ostatni kurs” Anna Grzanek	21
“Krasnoludki najlepiej smakują z tymiankiem” Dominika Tarczoń	30

CECH FANTASTYKI "SKIERCON"
UL. MSZCZONOWSKA 25/3
96-100 SKIERNIEWICE
SKIERCON.PL

JaSkier 2019 to trzecia odsłona konkursu literackiego organizowanego przez Cech Fantastyki "SkierCon" w ramach konwentu SkierCon. Odsłona wyjątkowa, gdyż po raz pierwszy laureaci otrzymali statuetki, a nagroda dostała swoją nazwę.

JaSkier nawiązuje nie tylko do rozpoznawalnej w fantastyce postaci literackiej barda i poety, ale przede wszystkim sięga do naszego skierniewickiego rodowodu.

Jak co roku celem uczestników konkursu było napisanie krótkiego opowiadania. Tegorocznym motywem przewodnim były wiedźmy. W opowiadaniach musiały znaleźć się niecodzienne słowa klucze - sześć spośród poniższych:

**zamek, bąbelki, dzik, ziemniak, miotła, inkwizycja,
kielbasa, skobel, ancymon, bagaż, krasnolud, rozśmieszać.**

Dodatkowo, użycie słowa **brokat** zastępowało dwa klucze.

Opowiadania oceniło jury w składzie:

Witek Jabłoński

Grzesiek Gajek

Agnieszka Kutermankiewicz

Anna Traut-Seliga

Iga Radomska

Sprawdźcie jak poradzili sobie z wyzwaniem tegorocznymi laureaci konkursu JaSkier. Życzymy Wam miłej lektury.

Cech Fantastyki "SkierCon"

WOJAŻE MAGICZNEGO WYPADKU

Maria Gadomska

Laureatka nagrody JaSkier 2019 w kategorii wiekowej 12-15 lat

Późnym wieczorem w niewielkiej chatce na obrzeżach miasteczka Vorray pewna dwudziestolatka prowadziła, cóż lekko mówiąc, nieco podejrzaną badanią. Badania? Tak, chyba można nazwać w ten sposób eksperymentowanie z (niekoniecznie stabilnymi) substancjami pozyskanymi równie dziwną drogą jak cel w jakim zostały wykorzystane. Nasza ognistowłosa bohaterka była zdolnym samoukiem, ale zaraz „ognistowłosa”? Owszem. Nie to żeby jej kręcone pukle były rude, nic z tych rzeczy. Chodzi o to że one czasem płonęły, jarzyły się zielonym ogniem. Jak więc obyło się bez oparzeń? Magia.... Dosłownie, to ją właśnie odkrywała i studiowała po nocach. Łatwo się zatem domyślić, iż ta noc nie różniła się od pozostałych.

Młoda Dairine starannie nakreśliła w swojej księdze kilka słów i zatrzasnęła ją z cichym odgłosem uderzających o siebie stron. Pstryknięciem zgasiła swoje czarne włosy i ogień w kominku. Skierowała ciche kroki w stronę okna, zza którego widać było księżyc, w pełnej okazałości wynurzający się spod poszarpanych chmur. Dziewczyna twardo wbiła wzrok w jaśniejącą tarczę Luny. Intensywnie rozmyślała nad swoim położeniem. Robiła znaczące postępy, jednakże miała świadomość, że prędzej czy później będzie potrzebowała nauczyciela, kogoś kto pomoże doskonalić jej umiejętności. Niechętnie podjęła wreszcie decyzję: musiała odezwać się do starej wiedźmy Malmurii, od której czasem pożyczała nietoperze pazurki. Nie miała nic do samej osoby Malmurii. Wręcz przeciwnie, naprawdę lubiła towarzystwo tej garbatej jędzy. Dairine nie podobał się jednak fakt, iż siwowłosa czarownica osiedliła się tak blisko miasta. Ludzie brali Malmurię za zbzikowaną babcię, więc nikt nie poświęcał jej szczególnej uwagi.

U czarnowłosej sprawy miały się jednak inaczej. Wszyscy wiedzieli, że coś jest z nią nie w porządku. Po karczmach i przydrożnych oberżach snuły się opowieści o przedziwnych przygodach podróżnych, którzy zarzekali się, jakoby na własne oczy widzieli elfy, bazyliuszki czy brodate **krasnoludy**. Dairine również nierzadko była główną bohaterką tych historii. Czasem gdy przemykając pod kapturem płaszcza po ulicach Vorray, załatwiała rozmaite sprawy, słyszała rozmowy o snującym się po lesie duchu kobiety lub wampirzycy wypatrującej o zmroku nowej ofiary. Wszyscy wiedzą, że w obliczu nieznanego wyobraźnia człowieka działa na pełnych obrotach. W ten właśnie sposób rozkopana przez **dziki** ziemia wygląda nagle jak ślady smoczych łap lub agonalne, desperackie próby wydostania się z ciemnego lasu nieboszczyka (będącego w rzeczywistości leżącą nieopodal, pogruchotaną kłodą). Wprawdzie wszystkie te historie były jedynie wytworem imaginacji zaślepionych strachem ludzi. Jednak jak bardzo niestworzone androny nie przewijałyby się w tych opowieściach, ludzie w nie wierzyli, a ich przekonanie mogłoby stać się dla Dairine dużym zagrożeniem. Dlatego właśnie wolą unikać mieszkańców Vorray. Innego wyjścia jednak nie miała. Ignorując swoją niechęć, spakowała drobny **bagaż** składający się jedynie z niezbędnych rzeczy i pod osłoną nocy ruszyła w drogę do swojej, jak przypuszczała, przyszłej nauczycielki.

Docierając do centrum, zgrabnie unikała strażników patrolujących miasto. Prawdopodobnie zainteresowałiby się jej podejrzaną postacią. Niezauważona skradała się właśnie obok podmurowanego, dwukondygnacyjnego budynku, gdy wtem przed sobą usłyszała rozmowę. Już zaczęła się cofać, ale zobaczyła z drugiej strony blade światło pochodni. Momentalnie przygłębła plecami do ściany budynku. W jednej chwili uświadomiła sobie, że nie ma dokąd uciec. Serce powoli pęzło jej

jej do gardła. W akcie desperacji wyszperata w pamięci niedawno odkryte zaklęcie i wyrzuciwszy przed siebie garść sproszkowanych nasion, szybko wyszeptala je pod nosem. Potem zacisnęła powieki i skupiona wyciągnęła przed siebie rękę. Uczucie było dziwne. Podobne do drętwienia kończyn po zbyt długim przebywaniu w jednej pozycji. Zdawało jej się, że na wyprostowane palce skapują drobne kropelki ukropu, maleńkie i wrzące. Po otworzeniu oczu ujrzala owoc osobliwego przeżycia: potężny mur z poplątanego krzewu wznosił się na trzy łokcie wzwyż, będąc dwukrotnie tak szerokim. Dairine zdążyła w ostatniej chwili. Strażnicy przeszli nieopodal, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. Ciemnowłosa cierpliwie odczekała, aż mężczyźni odejdą na bezpieczną odległość, by móc kontynuować swoje podchody. Jednak w tym samym momencie pewne dziecko wybudzone ze snu wyrzala ukradkiem z okna na piętrze. Był to syn zarządcy miasta, który odkąd nauczył się mówić, miał okropnie męczący problem: choćby nie wiem jak się starał, bardzo się jąkał. Tak więc, kiedy przestraszony spostrzegł wyrastający mur i spróbował zawołać swojego ojca, skończyło się to porażką. On jednak dobrze wiedział co zobaczył, ta wiedza nie pozwoliła mu zasnąć aż do świtu.

Tymczasem Dairine dotarła do chaty starej wiedźmy i przywitawszy się, przedstawiła cel swoich odwiedzin. Po ustaleniu zasad nauki uwagę dziewczyny przyciągnęły poustawiane na stole naczynia, a dokładniej to co się w nich znajdowało.

- Co to takiego? - spytała zaintrygowana, zerkając na stolik.

- Och, sama to wymyśliłam! - zawołała z dumą Malmuria.

- A jak się to coś nazywa? - Dairine z uśmiechem przesypała w misce błyszczący proszek.

- Otóż... - zaczęła chrapliwie - jeszcze się nie nazywa.

- **BROKAT!** - wykrzyknął nagle chłopiec na posyłki pomagający starszej wiedźmie przy eksperymentach.

- Eee... Gesundheit! - rzuciła szybko Malmuria, mierząc chłopaka zdziwionym spojrzeniem.

I tak zaczęły się lekcje czarów Dairine.

Po kilku tygodniach młoda czarownica nauczyła się w miarę sprawnie poruszać po mieście. Pewnego wieczoru wracała z lasu, gdzie nazbierała składników na eliksiry. Jak zwykle poruszała się mniej uczęszczanymi, wąskimi uliczkami. Przechodziła akurat obok swojego muru, który okazał się niezbyt trwałym zaklęciem. Teraz pozostał z niego tylko spory kopiec chrustu. Nagle zachwiała się, nie mogąc iść dalej. Jej spódnica i brzeg płaszcza zaczęły się o jeden z masywniejszych konarów. Zajęta próbami uwolnienia się nie zauważyła tego, co działo się na ulicy, gdzie zmęczona Sotria skończywszy pracę, wychodziła właśnie z karczmy. Szła przed siebie szybkim krokiem, stukając obcasami o brukowaną uliczkę. Wtem coś przemknęło jej pod nogami. Zaskoczona krzyknęła i odskoczyła w bok, a upuszczona latarnia, którą przed chwilą oświetlała drogę, rozbiła się o ziemię z cichym trzaskiem. Odruchowo podniosła wzrok, szukając przyczyny wypadku. W oddali zobaczyła, czmychającego w szparę między deskami, szczura. Tymczasem kilka gałązek wystających ze zrujnowanego muru Dairine zajęło się ogniem z potłuczonej latarenki. Sparaliżowana strachem dziewczyna zrobiła kilka chwiejnych kroków w tył, nie odrywając oczu od szybko rozprzestrzeniających się płomieni. Wtedy z pełnej gwaru knajpy wytoczył się porządnie wstawiony facet. Zatoczywszy się kilkukrotnie na prostej drodze podniósł przyćmiony wzrok na przerażoną sprawczynię

niespodziewanego incydentu. Wytrzeszczył oczy i ryknął ile miał sił w sponiewieranych płucach:

- O ty **ancymonie!**

Potem wyrwawszy się z chwilowego osłupienia, popędził byle dalej od pożaru, wykrzykując na całe gardło bełkotliwe ostrzeżenia. Sotria wciąż stała jak sparaliżowana, jej szczupła postać była w tym momencie podobna bardziej do bladego, marmurowego posągu niż żywego człowieka. Z każdą chwilą na ulicach przybywało mieszkańców zaalarmowanych dzikimi wrzaskami na temat szalejących płomieni. Wokół narastał zgiełk, który przerwał krzyk Dairine poprzedzony chaotycznymi próbami ucieczki z ognia. Była w pułapce. Dym i pożoga otaczały ją z każdej strony. Z tym nie potrafiła już sobie poradzić. Jej kręcone pukle płonęły, jarzyły się żywym ogniem. Ona cała płonęła i nie było to żadne z drobnych zaklęć. Zebrani dokoła ludzie rozpoznali wijącą się w płomieniach postać.

- Wiedźma! - krzyknął jeden z chłopów.

- Zmora! Czarownica! - zawtórował mu chór innych głosów.

Wszystko to rozgrywało się nieopodal okna pewnego chłopca. Tego samego, który był świadkiem nocnych podchodów Dairine. Warto zaznaczyć, że dziecko to śmiertelnie bało się ognia. To właśnie ten nieokiełznany żywioł odebrał mu matkę. Jego największy strach właśnie zajmował drewniane okno w zabałaganionym pokoiku. Malec ze łzami w oczach zebrał w sobie wszystkie siły i wykrzyknął bez najmniejszego zająknięcia:

- Tato! Tato, pomocy!

Ojciec, będący właśnie w drodze do pokoju chłopca,

Przyspieszył kroku i wpadłszy do niego z impetem, porwał syna na ręce.

Kiedy pogorzeliśko doszczętnie wygastało, wszyscy mieszkańcy zgodnie stwierdzili, że uśmiercanie czarownic odczynia uroki rzucone przez nie za życia, jak na przykład dolegliwość potomka zarządcy Vorray. Właśnie tak powstało (rzetelnie wypełniane przez ludzi) przekonanie, które spowodowało zgubę na wiele wieǳm parających się czarną magią.

PĘTLA

Michał Cybulski

Wyróżnienie w kategorii wiekowej 16-20 lat

Nadal ciężko mi uwierzyć w przebieg ostatnich dni. **Bagaż** przeżyć, jakie przyniósł mi los jest jednym z najcięższych. Masa bólu tak wielka, że nawet najsilniejszy Bóg nie jest w stanie nią poruszyć. O potędze tak wielkiej, że teraz sam przygnieciony leżę pod nią. Nigdy nie będę mógł już wziąć oddechu. Zostanę na zawsze w samotności, czując odrażający smród gnijącego ciała. Może powinienem powiedzieć Ci historię mojej "śmierci" raz jeszcze?

Wszystko zaczęło się tydzień temu. Pewien mieszczanin przybył do naszej wioski. Było to wielkie zaskoczenie! Rzadko kiedy pojawia się tu ktoś z wyższych sfer. Zatrzymał swoje Porsche przed moją chatą. Ubrany w zdobioną szatę marki Gucci, przyklęknął przed bramą. Następnie wykonał rękoma znak krzyża i zastygł. Zauważyłem z okna, że jego twarz nie dość, że jest blada jak u trupa, to jeszcze przepętniają ją blizny. Na ten widok strach dostał się do żył. Zmieszał się z dozą zdziwienia, kiedy usłyszałem od owego mężczyzny swoje imię. Przepętniony stresem zszedłem na dół. Aby odpowiednio przywitać gościa z daleka uzbroiłem się w talerz w **kielbasę** i ziemniaka. Tak jak uczyła mama. Przy przejściu przez próg zauważyłem, że mieszczan nadal klęczy przed bramą co jakiś czas powtarzając półkrzykiem "Filip". Nagle moje mięśnie zmieniły się w kamień. W żaden sposób nie mogłem poruszyć ciałem. Zawładnęła mną magia boga Stracha. Wycofałem się, słysząc jeszcze głośniejsze wołanie, niż przedtem. Aby poradzić sobie z czarami, wypłem jeden ze specjalnie przygotowanych eliksirów schowanych w piwnicy. Musiałem go ukryć, gdyż bimber jest nielegalną substancją. Po wypiciu całego baniaku, wyszedłem przed dom. Mikstura miała pewne skutki uboczne. Moje mięśnie z kamienia zmieniły się w żel, przez co moje kroki

zaczęły zamieniać się w partactwo. Przynajmniej mogłem chodzić! Kupiec nadal nie zmienił swojej pozycji. Był jednak nieco bladzy, a z jednej z jego ran na twarzy zaczęła spływać krew.

- Co pana sprowadza na tak daleką i zapomnianą wieś jak Sielce Prawe? - zapytałem, przeciągając niekontrolowanie każde ze słów.

- O wielki, wszechmocny Filipie! Tylko ty możesz nas uratować! Przewodniczący **inkwizycji** mówi, że to ty je pokonasz - mówił, nie odpowiadając na moje pytanie.

- Możesz przestać bredzić!? Kogo pokonam? - przerwałem zirytowany.

- W Skierniewicach od paru dni brakuje wody. Ukradły ją od nas dziwne kobiety, które latały na **miotłach!** Nikt nie jest w stanie stawić im czoła. Kilku śmiazków już poległo. Pomóż nam, błagam! - mówił przez płacz. Wtedy ja postawiłem przed nim talerz z obgryzioną kielbasą i ziemniakiem.

- Poczęstuj się świętując moje zwycięstwo. A i przy okazji - daj klucze do rumaka.

Mężczyzna bez słów rzucił się na jedzenie, rzucając drugą ręką breloczek na kształt przypominający **dzika**. W oku miał przycisk otwierający drzwi do konia.

- Udaj się do zamku prezydenta - powiedział z pełnymi ustami, po czym zaczął kastać. Odjechałem w stronę miasta nie wiedząc, co mnie czeka.

Trasa - jak to często bywa o tej godzinie taplała się w ciszy i słońcu. Rzadko kiedy ktoś tutaj jeździł. To dobrze, zważywszy na

wcześniej zażyte przeze mnie trunki i mizerne umiejętności kierowania. Po długiej, męczącej podróży przez drogi przepływające przez opustoszałe lasy, zza widnokręgu wyłonił się wielki, marmurowy **zamek**. Wyglądał bardzo zwyczajnie. Na krańcach muru stały długie wieże o spiczastych dachach. Jedyną wyróżniającą się cechą były niebieskie flagi ze złotym krzyżem pośrodku i białymi lilijkami. Wraz z przybliżaniem się było można zauważyć coraz więcej platform lewitujących kilkaset metrów nad ziemią i mozolnie ruszających się w górę lub w dół. Gdy dotarłem na miejsce coś wydawało się nie tak. Przy bramie nie było żadnego strażnika. Włączyłem ryczenie u mieszczańskiego konia, żeby zwrócić na siebie uwagę. Wtem moim oczom ukazał się rudy **krasnowłódz** - Nicolas, burmistrz miasta. To niecodzienny widok widzieć krasnowłódcę w kraju ludzi. Szczególnie tak wysoko postawionego. Nie dziwota więc, że w czasie jego pierwszego zwycięstwa w głosowaniu, mówiło się na wsi o przekręcenie w wyborach. Państwo bardzo chciało pokazać wszechobecną tolerancję obstawiając na stanowiskach inne rasy. W Skierniewicach nie wzbudziło to jednak dużego wrażenia. Mieszkańcy i tak przyzwyczaili się rządowych zagrywek. Po za tym nikt na niego nie narzekał, kiedy już doszedł do władzy. Kadencja Nicolasa diametralnie zmieniła ekonomię miasta. Zamiast pompowania wody z ziemi, zaczęto ją pompować z chmur. Bezrobocie było praktycznie zerowe, ze względu na wciąż to nowe inwestycje parowe. Powiększono zwierzyńiec o zupełnie nowe gatunki zwierząt. Wszelkie wzrosty podatków w tym czasie były wymysłem partii rządzącej, a nie kochanego przez mieszkańców burmistrza. Po 3 latach, z pomocą paru pożyczek z Unii Kontynentalnej i krasnowłódzkiej technologii spełniono szalony plan burmistrza - miasto zaczęło latać.

- Witaj młodzieńcze! Ty pewnie jesteś Filip? - zawołał z drugiej

strony bramy.

- Tak. Słyszałem od pewnego mieszczanina o kobietach na miotłach i braku wody. O co dokładnie chodzi? - zapytałem.

- Ach, zapomniałem! Co z Janem? Gdzie on jest? - powiedział przestraszony.

- Przed moim domem.

- I nie wzięłeś go ze sobą!? STRAŻE! - Wykrzyczał tak głośno, że chmura znajdująca się parę kilometrów nad nami spadła mi na głowę mocząc mnie.

- Tak jest sir! - Odpowiedział człowiek wychodzący z baru w biegu przypinając gwiazdę do swojego garnituru. Za nim znalazła się gromadka krasnoludów o czerwonych twarzach.

- Pojedźcie na wieś. Przy jednym z domów znajduję się mężczyzna w ubraniu marki Gucci. To mój doradca. Ma alergię na biedę. Jedźcie po niego, póki nie jest jeszcze za późno! - następnie spojrzał na mnie zmartwiony.

- Czy to chmura na Ciebie spadła? Cholera jasna, wiedziałem. Wiedziałem, żeby nie krzyczeć. Ostatnie źródło wody upadło, psia mać.

- A co z resztą chmur?

- Właśnie w tej sprawie Cię tu wezwaliśmy. Musisz zacząć od razu.

- Co muszę zacząć?!

- Słuchaj jest coś, czego nie powiedziałem nikomu przebudowując to miasto. Pompowanie wody z chmur jest zakazane w naszym państwie przez starożytną legendę o

czterech wystanniczkach bogini miłości - Ewy. Nazwano je wiedźmami. Miały one za zadanie niszczyć błogostawionym **brokatem** chmury, aby promienie słońca mogły przywrócić do żywych Ewę. Mif mówił również o bohaterze, który oczarował wiedźmy swoim wyglądem powstrzymując je przed przejściem świata. W końcu to wystanniczki Bogini miłości.

- Więc czemu wybraliście mnie?

- Najlepiej pasujesz do postaci z mitu. On też był grubym młodzieńcem bez żadnych mięśni.

- Wypraszam sobie! Nie jestem gruby! Mam tylko wielkie kości!

- Ta... Innego wyjścia i tak nie masz. Albo zrobisz to o co proszę, albo strażnicy się Tobą zajmą.

- Dobra, dobra. To co muszę zrobić?

- Posłanki Ewy potrzebują odrobiny czułości. Wystarczy pocałunek. Czasem nawet przytulenie. Ty się tym zajmiesz.

- Ależ proszę pana! Ja nigdy w życiu nie dotknąłem kobiety! Nawet moja świętej pamięci matka przy moim urodzeniu brzydziła się karmić mnie piersią. Od najmniejszych lat jadłem smocze mikstury, stąd wzięta się ta grubokościstość.

- Nie zmyślaj. Po prostu jesteś gruby. Co do dotykania kobiet - wiem o tym. Znajomi z Sielc mi powiedzieli. Dlatego pasujesz jeszcze bardziej do opisu postaci z legendy. Dasz sobie radę, wierze w Ciebie. Będziesz sowicie nagrodzony jak już wrócisz.

Przekonał mnie ten argument, więc wyruszyłem. Jeden ze strażników zaprowadził mnie do małego budynku o

czerwonych ścianach w centrum zamku. W środku znajdowały się dwie ławki, lustro i dźwignia. Podłoga zrobiona była z prześwitującego materiału. Pod stopami miałem zieloną trawę przypominającą tę ze wsi. Różniła się jedynie malutkimi, żółtymi kropeczkami na końcach źdźbła. Była to oznaka niższej jakości gleby w tym obszarze. Spowodowana zapewne zbyt nienaturalnym okresem deszczów i susz. Nagle, strażnik przeciągnął dźwignie w górę. Raban, jaki tworzył machina usłyszeli pewnie również Ci na górze. W miarę oddalania się od ziemi, coraz bardziej do niej tęskniłem. W pewnym momencie, gdy kolory pode mną zaczęły zlewać się w jednoś zatrzymaliśmy się. Drzwi się otworzyły. Za nimi pojawiła się horda białego dymu. Po chwili odgłosy ucichły, a strażnik wziął mnie za bary i wyrzucił za przejście, zamykając je zanim byłem w stanie zareagować. Winda zaczęła powoli znikać w otchłani nieba. Nie mogłem jednak przyglądać się temu zbyt długo, gdyż miejsce, w którym stała zostało zastąpione przez tęgie, metalowe profile wysuwające się spod powierzchni. Zacząłem się rozglądać. Przypomniała mi się wtedy moja pierwsza wizyta w Skierniewicach z matką. Często tam jeździliśmy. Zakupy, znajomi, szkoła. Od kiedy miasto lata nie wychodziłem z domu. Mimo to od razu poznałem miejsce, w którym wylądowałem. Byłem w zwierzyńcu. Jednak był znacznie bardziej rozległy niż pamiętałem. Wokół mnie rozciągały się tory, przeznaczone do użytku dla zwierząt. Na stacjach znajdowały się sztucznie wytworzone środowiska życia przeróżnych stworzeń. Tu akurat był to wielki las. Tory pozwalały zwierzętom odwiedzać daleką rodzinę. Wilki odwiedzały kojoty, koty domowe - tygrysy, a politycy - dziki. Zwierzęta nie narzekały. Dla nich było to nawet na rękę. Na ziemi często spisywane były konwencje, które uniemożliwiały swobodne życie niektórych gatunków. Pozwolenia na jedzenie obcych gatunków. Przecież nawet ja hodowałem na swojej farmie krowy, które przerabiałem na kiełbasę. Z daleka

zauważyłem nadchodzącą ludzką sylwetkę.

- Czekaliśmy na Ciebie! Przyszedłeś z wodą? - zawołała do mnie uradowana postać o tysiących blond włosach. Wyglądał na około czterdziestki.

- Nie. Nie mam żadnej wody. - odpowiedziałem.

- Co takiego!? Czy ten krasnal z dołu nadal nic z tym nie robi?! Woda skończy się w ciągu dwóch dni. Po co tu w ogóle jesteś!? - wykrzyczał.

- Mam pokonać złodziejki waszej wody, bo nie potraficie załatwiać nawet najprostszyc rzeczy - odpowiedziałem jeszcze głośniejsz niż on.

- Hahahahahha. Bez jaj. To nie możliwe. Widziałeś je chociaż? Poruszają się z taką szybkością, że nic nie jest w stanie ich dogonić. Te miotły mają za dużo magii. Musiałbyś być czarodziejem, a po Twoich wyglądzie stwierdzam, że jesteś po prostu paskudnym, śmierdzącym chłopem ze wsi.

Zanim zdążyłem wyskoczyć na niego z pięściami, nad nami pulsować zaczęło czerwone światło przypominające wielką pochodnię zbliżającą się do zwierzyńca. Dodatkowo wszystkie zwierzęta zaczęły ryczeć wpadając w szal. Ja zastygłem, kiedy mój rozmówca zaczął brać nogi za pas. Przyglądałem się parę sekund temu zjawisku. Chwilę zajęło mi zrozumienie, że spada na nas meteoryt! Było już za późno na ucieczkę. Mimo to zacząłem biec, licząc, że moje marne życie nie skończy się bez dotknięcia kobiety. Kosmiczny odłamek uderzył w pasmo torów. Przy zderzeniu przywołał płomienie, które zamieszkały w pobliskie drzewach. Huk wybuchu mnie ogłuszył. Byłem pewien, że umrę. Upadłem na ziemię, spoglądając ostatni raz za człowiekiem, z

którym wcześniej rozmawiałem. Nie byłem w stanie go dostrzec.

Następne co pamiętam, to wszechobecna ciemność i ból pukający w każdy mięsień, każdą kość. Rozłączanie i łączenie kości w nieskończoność. Czas przestał być mierzalny. Nie miałem pojęcia, co się ze mną dzieje. Miałem wrażenie, że słyszę kobiece głosy. Ton był podobny do mojej matki. Zimny jak krainy północy. Surowy jak kapral uczący rekrutów. Lecz gdzieś bardzo w oddali dało się usłyszeć czułość. Kiedy żarliwy ból odchodził w niepamięć, a zegar został nastrojony - zaczęłam śnić. Wróciłem do ostatnich dni z matką. Nie jestem w stanie zapomnieć jej rozczarowania. Tyle wydanych pieniędzy, żeby syn stał się kimś wyjątkowym. Astronomia. Moje marzenie. Wyrzucili mnie po trzech miesiącach za ważenie nielegalnych mikstur. Chciałem zarobić na wakacje. Prezent za te wszystkie męczarnie. Nigdy nie widziałem takiego smutku w drugim człowieku jak w jej szklanych, niebieskich oczach, które z dnia na dzień zdawały się szarzeć. Pięć dni po powrocie, zakończyła swój żywot na podwórku, wśród więdnących tulipanów. Ptaki śpiewały wyjątkowo głośno jak na deszczową pogodę. Pochowałem ją obok ojca i siostry, tak jak marzyła. To ja ją zabiłem. Brakło mi odwagi, żeby dołączyć do reszty rodziny. Mieszkałem samotnie w domu. Po dziesięciu latach pojawiła się chwila na naprawienie całej przeszłości. Mama mogłaby być wreszcie dumna. A mi znowu się nie udaje...

Nie miałem pojęcia jak długo tam leżałem. Tydzień? Miesiąc? Parę lat? Kiedy otworzyłem oczy zastałem biały, sterylny pokój. Gdyby nie łóżko, na którym leżałem i drzwi po lewej stronie, byłby kompletnie pusty. Z sufitu nieprzerwanie wyływały promienie światła, jaśniejsze od słonecznych w upalne lato. Mimo tego czułem gęsią skórkę na kończynach. Brakowało sił, aby poruszyć mięśniami. Zapach przypominający miętę przyprawiał mnie o ból głowy. Drzwi się otworzyły. Weszły po kolei. Każda

piękniejsza od wcześniejszej...

- Kim jesteście? - Zapytałem.

- Milcz. Masz słuchać, a nie zadawać pytania - powiedziały jednocześnie.

- Jesteś ostatecznym składnikiem. Tak jak mówi legenda. Pomożesz nam, a w zamian będziesz mógł z każdą z nas robić cokolwiek zechcesz. Podłączymy Twój mózg do naszej maszyny. Nie bój się. Zapewniamy, że przeżyjesz. Przepłynie przez Ciebie moc zebrana z chmur potrzebna do ożywienia naszej Bogini, Ewy. Zaprowadzi ona porządek na świecie mordując najbrzydliwszy gatunek jaki istnieje. Gatunek męski. Myślący swoimi genitaliami. Bawiący się w wojnę z nudy. Gwałcący i traktujący nas jak przedmioty. Jesteś wybrańcem. Nigdy nie skrzywdziłeś żadnej z nas. Sprawimy, że Twoja matka będzie z Ciebie dumna. Potrzebujemy Cię do wiecznej reprodukcji w świecie lepszym. Piękniejszym. Bez przemocy. Bez nierówności w traktowaniu. Każdy elf, człowiek, krasnolud czy ork - wszyscy zginą dla lepszego świata. Zostaniesz tylko ty.

Nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Zatkano mnie. Krasnolud mylił się z mitem. Pokój wypełnił się niezręczną ciszą. Jedna z kobiet zaczęła się rozbierać. Zacząłem czuć się bardzo nieswojo. I wtedy wymyśliłem coś, co wydawało się mi się genialne.

- Okej, okej zrobię to. Podziękujecie mi później. Nie chce być przekupywany w ten sposób, jeśli się jeszcze nie znamy.

- Mówiłam wam. To musi być on.

Zostałem wyniesiony za drzwi i poprowadzony przez wąskie

Korytarze. Wszystko tu wydawało się być technologicznie aż zbyt zaawansowane. Na jednej ze ścian za szkłem widniały mitotłopodobne urządzenia. Na końcu kija, zamiast pęku różeg znajdowało się dziwne, kwadratowe urządzenie. Różnokolorowe przyciski świecące w korytarzach tak jasno jak lampa w pokoju. Nie byłem w stanie powiedzieć co tworzy tę jasność. Może ukradli część słońca? Na pewno nie była to używana przez nas nafta. Doprowadzono mnie do bardzo wysokiej bramy. Zdziwiłem się, że coś takiego znajduje się w środku budynku. Jeszcze bardziej zszokowało mnie stopniowe znikanie bramy w podłodze. Za nią niebieski ogień tańczył po środku pokoju, wchodząc przez dach i wychodząc sufitem. Sufit, podłoga i ściany wokół płomieni były ogromne i utopione w śnieżystym kolorze. W pomieszczeniu znajdowała się masa drzwi spoglądająca na niebieski parkiet. Zaprowadzono mnie za ogniową zasłonę. Dokładnie naprzeciwko bramy, na drugiej stronie znajdowało się większe przejście. Już otworzone. Wyłaniał się z niego mrok.

- Zamknij oczy - powiedziała wcześniej rozbiegająca się dziewczyna spokojnym głosem, dotykając przy tym mojej klatki piersiowej.

Zamknąłem je. Poczutem zimno na prawym policzku i spadające małe kartki papieru na moją głowę. Trwało to parę sekund. Chwile spokoju przerwał dźwięk cmoknięcia. Gwałtownie zostałem wciągnięty przez coś, co zamieszkiwało w tym pokoju, jeśli można tak powiedzieć. Wiedziałem, że ciało zmienia pozycję, ale nic mnie nie trzymało. Nie kontrolowałem swoich ruchów. Próbowałem sprzeciwić się nogom, ale bez żadnych efektów. Po chwili poruszania, stopy przestały czuć ziemię. Nie mogłem się powstrzymać. Otworzyłem oczy. Ukazała mi się ciemność. Teraz nie jestem już w stanie powiedzieć, czy je otworzyłem. Może miałem tylko takie wrażenie. Już wtedy wiedziałem jak skończy.

Wszystko stanęło. Nadal nie mogłem poruszać kończynami. "Kontrolowałem" jedynie oddech. Jeżeli można tak nazwać spanie jak po kilometrowym sprincie u osoby mojej masy. Poczutem gwałtowny ból. Na początku u stóp. Potem coraz wyżej. Zdawało mi się, że mam dziury w ciele. I było ich coraz więcej. W końcu znalazły się na karku. Zaczęłem krzyczeć, ale nie wydałem z siebie żadnego dźwięku. I to się stało. Najdziwniejsze uczucie. Ból ustał. Nie było ciała. Żaden nerw nie istniał. Przeształem wciągając powietrze. Przeształem żyć. A jednak myślałem. I widziałem tak dużo pokoi w jednym momencie. Mogłem zobaczyć nawet siebie. Jakiś głos zaczął się włączyć. Działo się za dużo. Nie chciałem tego. Poczutem się jak człowiek pod tysiącami kamieni. Jak kobieta gwałcona przez setkę mężczyzn wymiennie, aż do śmierci. Jak przebity przez miliony kolców człowiek, który nadal może oddychać i myśleć. Jak dziecko, które nie zjadło żadnego posiłku przez tysiąclecia, a jednak wciąż żyło. Tak się poczułem. Ból gorszy od jakiegokolwiek śmierci. Choć nie miałem żadnej kończyny. Byłem niczym, a jednocześnie wszystkim. I pośród tego cierpienia, nieustannej męczarni, która trwała nie wiadomo jak długo, zobaczyłem ją. Wylaniając się z tańczących płomieni, była coraz wyraźniejsza. Moja matka. Spojrzałem na swoje stare ciało. Kolor skóry wybledniał. Podłączone liny przeszywające wnętrzności. Dotykałem je. Wiedziałem, co zrobić. Ostatni raz spojrzałem na siebie. Spadłem w ciemność. Poczutem zapach. Rozsmarowany mózg wleciał w nowego mnie razem z krwią. Śmierdzący ja. Rozległ się krzyk. Moja matka zaczęła płonąć, zamiast rodzić się w płomieniach. Za nią wskoczyła trójka kobiet. Została jedna patrząc prosto na mnie. Patrzyliśmy na siebie bez słów. Kiedy skończyły się agonialne dźwięki jej towarzyszek wyjęła z kieszeni dziwne urządzenie. Wykrzyczała:

- Kocham Cię!

I zniknęła.

Wszystko zniknęło...

Nic nie widzę, nic nie słyszę. Czuję jedynie zapach gnijącego siebie.

Przypominam sobie kim byłem. Nie pomaga w odpowiedzi na to kim jestem. Jej ostatnie słowa tworzą żal wśród jedynej czynności jaką mnie obdarzono. Myślenia. Pełnego samotności. Marzę o śmierci. O zakończeniu istnienia. Modliłem się o cofnięcie czasu. Może mógłbym z nią zostać. Może mógłbym pomóc im zabić resztę świata. Może mógłbym...

Przykro mi. Nie mogę zobaczyć, czy uratowałem świat. Czy moja męka idzie na marne. Chce już zniknąć. Powtarzam Ci te historie kilka milionów razy na sekundę. Masz mnie już dość. Nie martw się, ty przynajmniej nie jesteś prawdziwy.

Chciałbym umrzeć. Już nigdy nie usłyszeć bolesnego dźwięku moich myśli. Minęła jedynie minuta. W tym czasie opowiedziałem sto tysięcy bilionów historii. Mam dość. Tak bardzo mam dość. Chciałbym płakać, ale nie mam oczu.

OSTATNI KURS

Anna Grzanek

Laureatka nagrody JaSkier 2019 w kategorii powyżej 20 lat

Autobus sapnął głośno, zatrzymując się przy przystanku.

Jedyny pasażer pojazdu, mężczyzna odziany w lekki pancerz, zstąpił po schodkach. Wrzucił bilet do kosza na śmieci i zrobił przegląd **bagażu**. Po wyczerpującej podróży nie miał prawie nic, ale czegoż nie robi się dla kobiety? Z prowiantu pozostały mu tylko sok porzeczkowy i pęto **kielbasy**. Nawet miecz musiał zastawić, by zapłacić za przejazd. Poza tym miał w kieszeni jedynie ołówek, bo człowiek nigdy nie wie, kiedy może potrzebować czegoś do pisania.

W międzyczasie autobus zawrócił; nastąpiła błoga cisza, kiedy silnik zgaśł. To była krańcówka.

- Tylko spiesz się, koleś - rzucił kierowca, wychylając się przez drzwi.

- Spoko loko - odparł rycerz. - Nie po to leciałem przez pół świata, żeby teraz spóźnić się na jedyny autobus. Daj mi godzinkę.

I ruszył w kierunku widniejącej nieopodal, za pasmem drzew, ceglanej wieży. Na ostatniej kondygnacji można było dostrzec półokrągłe okienko przystrojone szarpaną przez wiatr różową firanką.

Rycerz, pomimo zapewnień, nie spieszył się zbyt. Szedł przez las, pogwizdując i rozmyślając, co też czekało go w miejscu przeznaczenia. Lubił przeciągać ten moment. Nie wiedział, z jakim niebezpieczeństwem przyjdzie mu się spotkać, czuł więc przyjemny dreszczyk emocji. Smok? Chimera? Olbrzym?

Wkrótce zagajnik przerzedził się, a przed rycerzem otworzyła się płytka kotlinka zarośnięta krzewami jeżyn. Pośrodku sterczała wieża. Okno z różową firaną było jedynym, które dało się dostrzec z tej strony. Ścieżka prowadziła wprost do niskich, okutych, ale otwartych na oścież drzwi.

Przed drzwiami ujrzał stół na kozłach. Gdy rycerz podszedł bliżej, ze zdumieniem dostrzegł, że blat jest gruntownie zastawiony alkoholem.

Za stołem stało krzesło.

Pod stołem zaś ktoś leżał i szlochał.

Mężczyzna schylił się. Przyłbica stuknęła, zamykając się gwałtownie. Rycerz stłumił przekleństwo.

Postać skulona pod blatem nie zwróciła na niego uwagi. Rozczochrane włosy, zielona **brokatowa** suknia, długie szpony, wiedźma jak malowanie - ocenił rycerz, kiedy już na powrót uniósł przyłbicę.

- Przepraszam bardzo - zaczął. Trwał w zgięciu, ręką przytrzymując przyłbicę. Przyszedłem uwolnić księżniczkę.

Szloch nie ustawał. Rycerz wyprostował się.

- No dobrze - westchnął. Zapowiadało się na przeprawę cięższą, niż przypuszczał.

Wszedł do wieży. Powitał go półmrok, szelest zawieszonych pod sufitem pęków ziół, a także zmieszany zapach tychże, kociego żwirku i kurzu. Rycerz odnalazł taboret oraz dwa gliniane

kubki i opuścił budynek. Ledwo rzucił okiem na spiralną klatkę schodową wiodącą w górę. To byłoby niesportowe. Nie można ominąć strażnika. Strażnika trzeba pokonać.

Postawił kubki na stole i ponownie zajrzał pod blat.

- Więc? - zachęcił. - Inna wiedźma miała ładniejszy brak sukni na ostatnim sabacie? Księżniczka jest pyskata? Mało odwiedzających? Co się stało?

Rozpaczliwy płacz rozbrzmiał głośniej. Pojawiły się też urwane zdania i bełkot, który niemal dawało się zidentyfikować. Rycerz wreszcie zdjął hełm, żeby móc lepiej nadstawić ucha.

- Obojętny... samotna... facet... aaa, takie buty.

Zasępił się. Nie tego się spodziewał. Nie było jednak rady. Sięgnął ręką i pociągnął.

Wiedźma pisnęła, gdy sadzał ją na krześle. Zdziałało to tyle dobrego, że ze zdumienia przestała płakać. Patrzyła na niego szeroko otwartymi, mokrymi oczami. Nos miała spuchnięty. Ciekło z niego coś w kolorze niebieskim.

- Dałbym ci chusteczkę, ale nie mam. Już, nie becz tyle. Tego kwiatu pół świata, znajdziesz następnego, uwierz. Mężczyźni są jak... jak autobusy.

Jego słowa wywołały efekt odwrotny od zamierzonego.

- Ale tutaj dojeżdża tylko jeden autobus!

Wiedźma znów wylała z siebie potok żalów. Z owego potoku rycerz wyłowił strzępy opowieści o przystojnym poborcy

podatkowym, który pomimo starań więdźmy, nie dawał się skusić jej zalotom, eliksirom, prośbom ani groźbom.

- Poborca! - jęknął rycerz. - Szukałaś uczucia w Skarbówce?!

Przeczekał kolejny napad rozpaczy, bębniąc palcami o blat stołu. Niech to szlag, dlaczego akurat musiało paść na więdźmę-histeryczkę? Potwora by zabił i już wracałby do autobusu, a tutaj...

Sięgnął po kubki, odkręcił pierwszą z brzegu butelkę i polał. Podstawił czarownicy trunek pod nos, jednak ta pokręciła głową.

- Wypiłam już wszystko, co miałam, poza wódką - oznajmiła ponuro, rozcierając rękawem niebieskie smarki po twarzy. Nienawidzę wódki. Lubię **bąbelki**.

Rycerz patrzył na nią przez chwilę. Jeśli „bąbelków” miała tyle, co samej wódki, to tłumaczyłoby jej stan.

- Okej, zrobimy tak... - rzekł, wyciągając karton soku porzeczkowego. Kiełbasą nie zamierzał się dzielić. Zrobię ci drinka, a potem... zdradzę sekret zdobycia prawdziwej miłości, dobrze?

- A w zamian? - Więdźma natychmiast zrobiła się podejrzliwa.

- To, co zwykle, kochana - odparł rycerz, wymownie wskazując w górę. - To, co zwykle.

- Tradycja... **inkwizycja**... ekstradycja...

Rycerz w zadumie przygryzał koniec otówka, starając się znaleźć ostatni, adekwatny rym.

Wreszcie dopisał na końcu „ę” w „propozycję”.

Przebiegł wzrokiem po tekście i pokiwał głową. Przyzwoity trzynastozgłoskowiec, stwierdził. Zwłaszcza jak na kogoś, kto nigdy dotąd nie napisał żadnego wiersza.

Wiedźma, nie do końca przekonana, dopijała szóstego drinka. Z oszczędności wlewała do kubka więcej alkoholu niż soku, więc stawiała się coraz bardziej ponura i zgryźliwa. Rycerz wołał ją jednak w tym stanie, niż kiedy ryczała, trzeźwiejąc.

- No - rzekł, odkładając otówek. Wręczył wiedźmie kartkę.- Skończyłem.

- Aha. - Pociągnęła nosem oraz z kubka. - I to niby ma pomóc? Panie, czarować to my, a nie nas. Lubczyk nie pomaga, uroki zawodzą, afrodyzjaki przeterminowane chyba...

Rycerz rozważył możliwość uduszenia babska gołymi rękami. Byłoby szybciej.

- W dzisiejszych czasach romantyzm jest modny - odpowiedział, siłąc się na spokój. - Mężczyznę trzeba uwieść urokiem osobistym i wrażliwością. Jeśli jednak koniecznie chcesz polegać na magii zamiast na autentycznych porywach serca...

Niewiele myśląc, sięgnął do kieszeni po jedyny kawałek papieru, jaki posiadał, a mianowicie powrotny bilet autobusowy.

Znów przygryzł koniec ołówka, maznął kreskę wpierw pionowo, potem na ukos, dorysował dwa kółeczka, coś, co przypominało klucz wiolinowy, kwiatka, gwiazdkę, jeszcze dwie kreski, a potem przechylił głowę na ramię, by ocenić efekt.

- Co by tu... A, tak - mruknął, dorysowując na samej górze serduszko, choć z perspektywy siedzącej po drugiej stronie stołu wiedźmy wyglądało to raczej na pośladki.

- Oto - rzekł uroczyście - jest talizman miłosny, którego tajników mójród strzeże od tuzina pokoleń. Dzięki niemu moi przodkowie, wszyscy jak jeden mąż rycerze, zdobywali swoje księżniczki - dokończył, mając nadzieję, że zabrzmiało to dostatecznie przekonująco.

Wiedźma uniosła brew i czknęła.

- Bzdura - stwierdziła. - Nie powiesz mi chyba, że wszyscy kradniecie panny podstępem, zamiast rozkocharć je w sobie bohaterskimi czynami, jak nakazuje tradycja?

- I kto to mówi? To ty chcesz faceta magią zbałamucić zamiast poczekać, aż się jakiś chłop sam trafi. - Rycerz wrzucił ramionami. - Słuchaj, albo ubijesz ze mną interes, i spróbujesz z wierszem i amuletem, a wtedy oboje możemy wygrać, albo robimy to jak zwykle, a wtedy oboje możemy stracić. Wybieraj.

Zamilkli. W pobliskich krzakach siedział ptaszek, który śpiewał rzewną melodię. Efekt psuł nieco dochodzący gdzieś z oddali hałas wydawany przez jakąś maszynę rolniczą.

- Sąsiad **ziemniaki** wykopuje - mruknęła wiedźma pozornie bez związku. - Stary pijus, ale wzięłabym go, gdyby nie to, że

żonaty...

Rycerz jęknął, słysząc to wyznanie, jednak powstrzymał się od komentarza. I dobrze, bo wiedźma, wpadłszy w melancholijny nastrój, kontynuowała:

- A niech ci będzie, blacharzu. Już chyba wszystkiego się chwyciłam, więc czemu by z wierszem nie spróbować? Idź po tę swoją dziewczkę, zanim się rozmyślę.

Rycerz wstał od stołu i skłonił się głęboko. Wiedźma tylko machnęła ręką, a potem odrzuciła za siebie pusty karton po soku porzeczkowym.

Schody były wąskie, długie i kręte, jednak rycerz nawet nie dostał zadyszki, gdy wreszcie dotarł do ostatniego podestu.

Drzwi komnaty były otwarte. Wyływały przez nie delikatny zapach perfum oraz słodki głosik nuczący skoczną piosenkę.

- Nie spieszło ci się do mnie, przystojniaku - rzekła księżniczka, kiedy rycerz stanął w progu. Siedziała przed lustrem, rozczesując długie włosy. Odwróciła się teraz ku niemu i zalotnie zatrzepotała rzesami.

Długo nie odpowiadał, wpatrując się w nią z uśmiechem. Sycił wzrok czymś, co nie potrzebowało żadnych talizmanów ani zaklęć.

- Tym razem dałaś mi niezłą zagwozdkę - rzekł wreszcie.

Księżniczka roześmiała się.

- Cieszę się! Wiem, że już znudziły ci się bazyliuszki i sfinksy. Zainwestowałam więc w coś... Ciekawszego.

- Zainwestować to ty teraz będziesz musiała w lombard, w którym zastawiłem swój miecz, moja pani.

Rycerz podszedł do księżniczki, objął ją wpół i poderwał z miękkiego stołeczka. Ze śmiechem zarzuciła mu ręce na ramiona i ucałowała namiętnie.

- Wygrywasz już siedemnaście do zera, kochanie - westchnęła po chwili, ale w jej głosie słychać było raczej satysfakcję niż rozczarowanie. - Poczekaj, tylko spakuję kosmetyczkę...

Wyszli z wieży, trzymając się za ręce, jak za starych, dobrych czasów, kiedy dopiero zaczynali się wabić ze szczytów wież i ratować przed potworami. Trzeba czasem odkurzyć miłość, by nie zarzewiała. Skinęli wiedźmie głowami i udali się ścieżką przez lasek w stronę przystanku.

A potem, ku zdumieniu kierowcy, ominęli autobus i poszli dalej, poboczem piaszczystej drogi.

- I tak miałem tylko jeden bilet - powiedział pogodnie rycerz. Księżniczka pogłaskała go czule po ramieniu.

Powoli zaczął zapadać zmierzch.

- A niech mnie - mruknął kierowca, spoglądając na oddalającą się ku zachodzącemu słońcu parę. Przekręcił kluczyk

w stacyjce, jednak nim zdążył pozamykać drzwi, do wnętrza autobusu zajrzała rozczochrana, czarna głowa.

To był całkiem niezły amulet. I jeszcze lepszy wiersz.

Nie minął rok, jak krzaki jeżyn całkowicie zawłaszczyły sobie zapomniany, przerdzewiały autobus.

I chyba wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

KRASNOLUDKI NAJLEPIEJ SMAKUJĄ Z TYMIANKIEM

Dominika Tarczoń

Laureatka nagrody JaSkier 2019 w kategorii powyżej 20 lat

Franciszka to kiepskie imię dla wiedźmy.

Frania przekonywała się o tym raz za razem, gdy rzesza szeptuch, żerców i innych pseudoczarowników - których było na pęczki ostatnimi czasy - reagowała pogardliwym śmiechem za każdym razem, gdy dziewczyna się przedstawiała.

Tak było i tym razem. Stali na jednym z wrocławskich mostów (sto mostów i trzydzieści kładek, jak zachwalają Wrocław w przewodnikach) i mierzyli się wzrokiem z bandą trolli.

- Franciszka, wiedźma klasy A. Kuratorium mazowieckie - Frania wyciągnęła licencję i pomachała nią w kierunku grupki.

Trolle ledwo maskowały rozbawienie. Ojcy, najważniejszy troll w bandzie, zagroził wjazd, stając tuż przed maską auta, i zawołał z udawanym zdziwieniem.

- Klasa A? Przecie to dzieci dostajo! Panienska już w wieku wskazującym, czyżby się egzaminy zbliżały?

Frania oblała się rumieńcem purpurowym niczym szaty **inkwizycji**.

Wszystkie wiedźmy i wiedźmowie, zanim otrzymają certyfikat (a co za tym idzie - licencję, dziewięćdziesiąt procent zniżki na medykamentu w sklepach zielarskich i gwarantowaną najniższą emeryturę), muszą uczęszczać na sześcioletnie studium czarownawstwa. Oczywiście dzieci, jak i studenci, z miejsca zostają przypisani do klasy A - najniższego poziomu w hierarchii gildii. W

czasie studium młodym wiedźmom przydziela się mistrza, u którego studenci terminują i przygotowują się do egzaminów. Każda wiedźma i każdy wiedźm muszą zdać ostateczny egzamin praktyczny - i to przed trzydziestym rokiem życia. Jeśli egzamin zakończy się sukcesem, absolwent otrzymuje klasę B.

Jeśli nie zdąży, mała wiedźmia społeczność skutecznie wykluczy lesera, a gildia nie wyda licencji na wykonywanie zawodu. Przy czym, o ile da się żyć w odosobnieniu, o tyle lepiej z gildią wiedźm nie zadzierać. Wyrzutki otrzymywały klasę F; nieaktywni, ale zarejestrowani. Bez prawa do emerytury, oczywiście (ale ze zniżką na maść na stawy - nawet do 50%).

Frania dwa miesiące temu oblała już pierwszy test przy okazji pechowego spotkania z demonicznym **dzikiem**. Na tamtym polu **ziemniaków** zostawiła nie tylko mały palec u lewej stopy, ale i sporą część i tak już wątpliej pewności siebie.

Troll nie mógł tego wiedzieć, ale jego uwaga i tak zaboląła dziewczynę. Ojcy zauważył jej zmieszanie i już otwierał paszczę pełną zepsutych zębów, żeby kontynuować tyradę, gdy przerwał mu kierowca auta.

- Panie, nie będę się powtarzać! Mam tutaj delikatny towar, a już jestem spóźniony - mężczyzna zabębnił w drzwi, wystawiając rękę przez otwarte okno.

Faktycznie, na tylnych siedzeniach, w rytm pracującego silnika podrygiwały torby wypełnione podejrzaną, wydającą jęki i piski zawartością.

- Powiedziałim - nie ma myta, nie ma przejazdu. A jak nie pasuje, to won - warknął troll. Dwa pozostałe trolle przytaknęły. Młodszy z nich zrobił to tak energicznie, że z głowy gęsto posypał

się łupież, opadając na ramiona trolla niczym **brokat**.

- Można płacić karto - drugi z trolli podstawił pod okno kierowcy terminal.

- Na bogów lasu i szataśu - westchnął kierowca i schował twarz w dłoniach.

- **Skobel**, ja to załatwię - Frania poklepała kierowcę po ramieniu, żeby dodać mu i sobie otuchy, po czym sięgnęła na tylne siedzenia do bambetli. Złapała jeden z mniejszych bagaży i wyszła z auta.

Stała przed trollem. Ten, wężąc bójkę, z satysfakcją wziął się pod boki.

- A winc myta płacić nie zamierzają? To kto pierwszy aby na ruszta? Szanowna stara panienka czy kierowca złoma?

Słyszając to, Skobel aż się zapowietrzył.

- Jak on śmiał nazwać mojego ubota?- oczy zwęziły mu się w cienkie szparki.

- Złom. Użył określenia „złom” - potwierdziła wiedźma, nie odrywając wzorku od ojcy trolla.

- Trolle, wyklepać mi tu myto, a już! - zawoła ojcy i ruszył na Franię. Dzieliło ich zaledwie kilka kroków.

Wiedźma jednym płynnym ruchem zwołniła zatrask i energicznie wyrzuciła zawartość torby w kierunku trolla. Małe, brunatne istoty natychmiast obsiadły potwora niczym chmara szarańczy, zanosząc się jazgotliwym śmiechem.

- Co do czorta? - krzyknął ojcy, a obaj podkomendni rzucili

mu się na pomoc. Na wiele się nie zdali - potworki zaraz również ich obsiadły, wgrzając się boleśnie w członki i szarpiąc za włosy na plecach.

- Wujka mi w to nie mieszaj - mruknął pod nosem Skobel i waląc uporczywie w klakson, zaczął powoli wjeżdżać autem na mostek.

- **Krasnoludki** to okropne stworzenia - przyznała Frania, obserwując rzucające się rozpaczliwie trolle. Potworki może nie robiły im większej krzywdy niż zadrapania i płytkie rany, ale jednemu z trolli zdążyły już odgryźć niemal całe ucho. - Są paskudnymi, wrednymi złodziejami. Mają za to jedną zaletę - kiedy są głodne, potrafią być jeszcze bardziej paskudne. A że od rana nic nie jadły...

Młody troll wrzeszczał, starając się ocalić małżowinę. Jego pobratymiec, sam obleziony przez brunatne paskudztwo, starał się pomóc młodemu. Zaczął walić terminalem do pobierania myta na oślep, ale krasnoludki sprytnie unikały ciosów, tak że troll zamiast je rozgnieść na miazgę, pozbawił młodego przytomności.

- Naprawdę nie lubię być zmuszana do takich rozwiązań - głos Frani był zmęczony i szczerzy. - Do dupy z taką robotą. Ale nie dajcie mi wyboru.

Trolle wiły się na asfalcie, jęcząc z bólu. Ojcy rozkwaśił kilka krasnoludków o barierkę mostu. Drugi troll, ten od terminala, strzepywał bestyjki na drogę i próbował rozgnieść je butem.

- Franka, zawijasz się? Za kwadrans musimy być z towarem na **zamku** - Skobel zatrząbił, pospieszając wiedźmę.

Frانيا podeszła do oblaných krwią trolli. Krasnoludki może i

Nie zadawały głębokich ran, ale ich ostre ząbki wpijały się niemal wszędzie.

Dziewczyna otworzyła znowu torbę i pomachała nią w kierunku bestyjek. Nie reagowały, więc wyciągnęła z kieszeni samarkę, zerwała plombę i wysypała zawartość do środka.

- No już, potworki! Macie swoje ziele michałtka - zamachała torbą przed nosami krasnoludków.

Kiedy do nozdrzy bestyjek dotarła specyficzna, ciężka woń - podobna do zapachu siana - cała chmara rzuciły się do wnętrza torby. Frania starannie ją zamknęła przy akompaniamencie chrupania suszonych bobów.

Wróciła do auta i rzuciła torbę na tylne siedzenie. Zawartość jęknęła głucho.

- Obrzydliwe te stworzonka - wzdrygnął się Skobel. - Ale przynajmniej kiełbasa jest z nich niezła.

- Mówisz o trollach?

Skobel zaśmiał się.

- Nie, o krasnoludkach.

- Aaa... Widzisz, ja najbardziej je lubię w sosie i z tymiankiem.

- A podobno mieszkańcy Wrocławia nienawidzą tych krasnoludków.

- Może nigdy nie jedli pieczonych?

Nie przejechali nawet kilometra, gdy przed nimi pojawił się kolejny most. Wjazd zaś zastaniała grupka uzbrojonych po zęby

człekokształtnych.

- Skobel?

- Tak?

- Ile jest mostów we Wrocławiu?

- Sto. I trzydzieści kładek.

- I każdy z nich ma własny gang?

- Bardzo możliwe - westchnął kierowca.

- Zaczekaj tu na mnie chwilę - powiedziała Frania i znowu sięgnęła po bagaż. - W tym tempie pozbędziemy się połowy krasnoludków, zanim dojedziemy do zamku.

- O nie - jęknął Skobel - Liczyłem na krasnoludki z tymiankiem!

